

O modlitwie

czyli o indyku, ewolucji, puzzlach i o Sercu Pana naszego

Szedł indyk ulicą Wolską.

- Czy umie pan mówić po polsku?

- Nie umiem. – A po jakiemu?

- Po indyczemu, po kurzemu,

A jeszcze po gęsiemu i po kaczemu...

Całej rozmowy nie pamiętam, to już było ponad siedemdziesiąt lat temu... Ale w każdym razie kończyło się tak:

- A wysoko mieszka pan indyk?

- Na piątym piętrze bez windy!

- Tak wysoko! Mój Boże!

To pewnie na obiad pan zdążyć nie może?

- No właśnie. A w domu zamieszanie,

wszyscy zaczynają narzekać,

towarzystwo do stołu zasiadło...

- A czy muszą na pana czekać?

- Także pytanie!

Przecież to nie ja będę jadł, tylko mnie się będzie jadło.

Nie zwariowałam, nie. Tylko mnie w dzieciństwie karmiono wierszami Brzechwy, ten umiałam na pamięć, zanim jeszcze mogłam dobrze go wymówić; zaraz się okaże, po co go cytuję.

Mamy mówić o modlitwie.

Modlitwa to świadoma postawa wobec Boga.

Modlitwa nie jest jedną z wielu czynności, jedną z wielu praktyk, do której zabieramy się osobno, po kolei. Trzeba oczywiście mieć na nią czas osobny, inaczej przepadnie; ale ten czas osobny jest po to, żeby modlitwa mogła rozciągnąć się na całe życie, żeby stawała się naszą wewnętrzną postawą, naturalną jak oddech i konieczną jak oddech: *Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie*. Modlitwa kształtuje życie i wyraża życie.

Są ludzie, którzy usiłują rozwinąć w sobie życie modlitwy mniej więcej tak, jak można próbować rozwijać w sobie jakąś pożądaną cechę, na przykład krzepę fizyczną

albo silną wolę. W takim wypadku „JA” jestem w centrum uwagi, moja korzyść, moje udoskonalenie, moje uspokojenie, moje zdrowie fizyczne albo duchowe, moja duchowa przyjemność. Taki (jak mówi Nicholl) duchowy lukier na torcie ziemskiego sukcesu. Ale to nie jest modlitwa; albo może i jest, ale do siebie samego. Istotą prawdziwej modlitwy jest zwrot mojego „ja” do TY, i to TY niewidzialnego. I nie chodzi o to, żeby coś osiągnąć, coś dla siebie uzyskać, tylko odwrotnie: żeby się oddać. Do pełnej dyspozycji, na przepadłe.

Jeżeli ktoś chce się naprawdę modlić, niech zapomni o takich celach czy ideałach, jak „wyrażanie siebie”, „realizowanie siebie”. Bo jeżeli będzie w życiu dążył do realizowania *siebie*, i koncentrował się na sobie, a na modlitwie próbował skoncentrować się na Bogu, będzie rozdarty i długo w takim rozdarcu nie wytrzyma: będzie nadal krążył sam wokół siebie i w końcu przestanie się modlić, nawet choćby mu się wydawało, że nie przestał. To nie znaczy, że każdy musi dla umożliwienia sobie modlitwy zmieniać natychmiast cały tryb życia, zawód i stan: ale że każdy musi, dla umożliwienia sobie modlitwy, zmienić intencję, w jakiej pracuje. Dla Boga, nie dla siebie ani dla swojej „realizacji”.

Często mnie pytają, w jaki sposób zakonnica może zrealizować siebie w klasztorze. Odpowiadam, że nie po to tam przyszła. Jeżeli zaufa miłości Boga i podda się Jego prowadzeniu, zrealizuje – nie „siebie”, ale coś o wiele ważniejszego: swoje powołanie, swój, od Boga dany, kształt miłości do Niego. Jeżeli jednak będzie z góry stawiać warunki, określać sama, co mianowicie chce robić i jak siebie realizować, to spędzi całe życie na wyklócaniu się: z Bogiem na modlitwie, a z przełożonymi poza chórem; i jedyne, co ostatecznie osiągnie, to choroba nerwowa: jej własna i paru osób z otoczenia. Bóg nie ma obowiązku uwzględniać naszych gustów. Ileż jest takich wypadków! Chciała zakonnica jechać na misję, a wylądowała na wózku inwalidzkim. Chciał mnich być pustelnikiem, a zrobili go w klasztorze szafarzem. Albo właśnie chciał być szafarzem, organizatorem – takie talenty! – a zrobili go katechetą. Ale Bogu nie stawia się warunków. Bogu trzeba zaufać w ciemno; inaczej modlitwy nie będzie.

Mutatis mutandis, to się stosuje także do wszystkich chrześcijan. Bóg chce od nas modlitwy tam i w takich warunkach, w takich okolicznościach, w takich wydarzeniach, w jakich nas stawia; nie w takich, w jakich my dopiero mamy ochotę się znaleźć. Te pierwsze są rzeczywistością, te drugie fantazją. Nie ma sensu próbować żyć w oparach fantazji, a z Bożą rzeczywistością się rozmijać. To, co dziś nazywają wirtualną rzeczywistością, ma wartość tylko o tyle, o ile coś mówi o rzeczywistości

prawdziwej, Bożej, i jakoś nas wobec niej ustawia. Na tej zasadzie działa wszelka baśń czy powieść: wspaniały środek wyrazu, jeśli jest środkiem wyrazu, ale anty-modlitwa, jeśli jest ucieczką od rzeczywistości. Bo nasze życie i nasze zbawienie są tutaj, w tej rzeczywistości, danej nam jako nasze poletko do uprawiania, tak jak Adam dostał do uprawiania ogród Eden. I nie ma sensu próbować modlić się rzeczywistością, której nie ma, zamiast tą, która jest. Ani czekać z modlitwą, aż rzeczywistość się zmieni. „Ach, gdybym był pustelnikiem, jak ja bym się modlił!” – Bzdura. Naprawdę można się modlić tylko tu i teraz, nie gdzieś tam dopiero w ziemi Gdyby.

Jakie są narzędzia modlitwy? Całe moje ja, cała moja osobowość, wszystkie elementy mojego człowieczeństwa; moje życie emocjonalne i moje władze poznawcze, i moje życie osobiste, i zawodowe, wszystko. Wszystko, co jest mną, jest podmiotem działającym w kontakcie z Bogiem.

Jakie jest tworzywo modlitwy? Wszystko, co jest, jest tworzywem naszej modlitwy, bo jest przedmiotem naszego kontaktu z Bogiem.

A więc, po pierwsze i najważniejsze, jest nim On sam: to, co On nam objawia o sobie. Poznawanie tego jest przepięknym rodzajem modlitwy. To przede wszystkim po to Bóg dał nam umysł, rozum, władze poznawcze – jakkolwiek to nazwiemy – żebyśmy Jego poznawali, na tyle, na ile to dla nas możliwe już tutaj. Są ludzie, którzy uważają, że Bóg ma obowiązek napełniać nas na modlitwie wiedzą, kontemplacją wlaną, i że wobec tego marnowaliby czas, studiując teologię. Ale Bóg takiego obowiązku nie ma, ani nie robi tego na zawołanie – poczekajcie z kontemplacją, aż będziecie w niebie – toteż ci ludzie marnują, ale nie czas, tylko dane sobie przez Boga zdolności, których gotowi są używać do wszystkich spraw ziemskich i przemijających, tylko nie do tego, do czego przede wszystkim zostały stworzone. Zawsze łatwiej jest czekać na mannę z nieba, niż uprawiać zboże; ale Chrystus nie mannę, tylko właśnie pszenicę zrobił materialem do Eucharystii: *owoc ziemi i pracy rąk ludzkich*. I wmawiając sobie, że nam manna leci, można się z Eucharystią rozminąć; podobnie jak z możliwością czytania w językach obcych rozmijają się te zacne dusze, którym się nie chce uczyć się słówek, a wolą czekać na dar „mówienia językami”.

Drugim tworzywem naszej modlitwy jest nasze życie, okoliczności, potrzeby. Czasem pędzi to wszystko tak szybko, że nie ma czasu na nic więcej, tylko pokazywać to Panu. Czy bez naszego pokazywania nie widzi? Widzi oczywiście, ale lepiej jest, jeśli patrzymy razem.

Dużo się mówi o metodach modlitwy. Jest ich mnóstwo, i są dobre, każda w

swojej porze i w swoim – nazwijmy to – krajobrazie; byleby tylko w żadnej nie utkwić tak, jakby metoda była ważniejsza od modlitwy, droga od celu, dążenie do Boga od Boga. Każdą po jakimś czasie zostawiamy za sobą, jak ptaszek zostawia za sobą skorupkę jajka, z którego się wykluł. **Jedyną trwałą metodą modlitwy jest intencja modlitwy.**

Co można przez modlitwę osiągnąć? Nic. Celem modlitwy nie jest osiągnięcie czegokolwiek, podliczanie punktów, zaliczanie etapów. Celem modlitwy nie jest nawet świadomość, żeśmy się dobrze modlili. Bóg sam jeden wie, w czym jest więcej Jego chwały: w naszych kulawych intencjach, czy w naszych koślawych osiągnięciach? Celem modlitwy jest Bóg i nasze staranie o wzrost miłości do Niego. Tu właśnie wchodzi nam ten indyk: *nie ja będę jadł*, tylko siebie mam ofiarować. W całości, na przepadłe.

Kiedy się dowiemy, czyśmy się naprawdę modlili? Po śmierci, ale tam to już nie będzie ważne: Bóg zajmie całą naszą zachwyconą uwagę i nie będziemy jej marnować na siebie i swoje osiągnięcia.

Bo tu na ziemi nasza modlitwa, im jest intensywniejsza, tym bardziej się obija, siniaczy i rani o Bożą niewidzialność. Wydaje się nam: nicość, pustka, nic uchwytne. To samo mogłaby powiedzieć mrówka, wędrująca po ludzkiej dłoni i widząca z niej tylko coś około centymetra kwadratowego. Jest tylko jedna, kapitalna różnica: mrówkę człowiek strząsa, a człowieka Bóg prowadzi, aż w końcu doprowadzi tam, gdzie poznanie Go będzie już możliwe. Twarzą w twarz.

I teraz najważniejsze: dlaczego to tak jest.

Żyjemy w świecie, który nie myśmy stworzyli i nie myśmy mu nadali cel. A żeby zrozumieć cel jego istnienia, trzeba się, mówiąc obrazowo, wsłuchać w bicie Serca Syna Bożego. Syn odwiecznie w Trójcy Najświętszej miłuje Ojca. To jest treść Jego istnienia, to jest dla Niego najważniejsze. Sam nam to wiele razy powiedział. Ale powiedział także i to, że nie ma większej miłości, niż oddać życie za umiłowaną osobę. Otóż Syn Boży, nieśmiertelny, wszystko może zrobić dla Ojca, tylko tego jednego jako Bóg nie może: umrzeć, oddać życie.

Najwyraźniej więc potrzebny był świat, świat istot przemijających i śmiertelnych, żeby Syn miał możliwość umrzeć, złożyć z siebie najpełniejszą ofiarę, a Ojciec żeby miał możliwość przyjąć ją i odpowiedzieć niewyobrażalnym uwielbieniem. A w takim razie całe istnienie wszechświata to jest dar wewnętrznej miłości w Trójcy Świętej. Dlatego dzieło stworzenia jest tak często przypisywane Duchowi Świętemu.

Ludzie się dotąd spierają, czy ewolucja miała miejsce, czy nie miała. A Bóg, dla którego czas ziemski nie gra żadnej roli, przygotowywał ciało dla swojego Syna: od pierwszej drobiny materii, z mułu ziemi, owszem, ale nie prosto z błota, tylko przez pierwszą komórkę żywą, i przez coraz szlachetniejsze tworzywo. Sterował tym rozwojem, czuwał nad nim. Mieliśmy się z Nim podzielić naszą śmiertelnością; tej usługi nie mógł Mu oddać najpłomienniejszy nawet serafin! – a On nam ten dług spłacił, nie tylko gładząc nasz grzech, ale dzieląc się z nami swoją nieśmiertelnością i wciągając nas we wspólnotę tej niewyobrażalnej miłości, ku chwale Ojca.

Więc Ojciec nas przygotował, żeby Synowi umożliwić wcielenie; a Syn włączył nas w ten strumień miłości, daru z siebie, jaki łączy Go z Ojcem. A wszystkie niezliczone szczegóły wszechświata są jak kawałki układanki. Każdy jest na swoim miejscu potrzebny i gdyby go zabrakło, będzie rażąca dziura. Ale żaden nie tłumaczy sam siebie, nie zawiera swojego sensu w samym sobie. Parę kropek na jasnym tle, ot i wszystko na tym kawałku, i dopiero kiedy go umieścimy na przewidzianym dla niego miejscu, okazuje się, czy to były głowy dalekiego tłumu, czy piegi na nosie urwisa. Całość wyjaśnia części. Jeśli zajmujemy się tymi częściami tak intensywnie, że całość stracimy z oczu, no to zaczynamy żyć tak, jakby sensem istnienia wszechświata był nasz nowy samochód, albo kariera, albo realizacja siebie.

Kiedy Apostoł Filip prosił „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy” – miał rację, że wystarczy, i miał rację, że nic innego nie wystarczy; ale wyraził tę rację tak naiwnie, jak trudno bardziej. To tak, jakby powiedział: „Panie, daj nam wszystko-wszystko-wszystko, a to nam wystarczy”. No pewnie! Podaruj nam wszystko i wyjaśnij nam wszystko, od razu, już, to nam wystarczy. A Chrystus tłumaczy: Poczekajcie. Wasza droga wytyczona jest nie przez widzenie, ale przez wiarę do widzenia. Na razie widzicie mnie jako człowieka i wasz rozum, oświecony wiarą, powinien uznać, że tym samym widzicie już Boga. Przyjdzie czas i na pełne widzenie!

Amen.